

Nr. 4. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci! 15. Lutego.

Pobłażliwość królów polskich.

Wielu i różnych miała Polska królów. Berło jej dzierzyli „Wielcy“ i „Chrobrzy“, których sława dotąd nie przebrzmiała, „Gnuśni“ i „Walezjusze“, którzy swojemi niedołężnemi rządami naród tylko skrzywdzili, namiętni i popędliwi lub przytem „Śmiali“, co w niepohamowanym zapędzie gwałtownej namiętności targali się na władzę kościelną, a nawet głowy biskupów nie poszanowali; spokojni i pobłażliwi, co przebaczali wszelkie urazy

i miłe po sobie wspomnienie zostawili. A jeżeli już pobłażliwość w moralnym względzie przewyższa zawsze wszelką zemstę, o ileż piękniejszym urokiem świeci ona u osób dostojnych, głów ukoronowanych! Takimi byli z polskich królów, by już innych pominąć, Kazimierz II. Sprawiedliwy, Zygmunt I. Stary i Zygmunt August. Poniższe przykłady mało na pozór znaczne, dowiodą tego:

I.

Kazimierz II. Sprawiedliwy zabawiał się raz z dworzaninem swoim Janem Konarskim zwyczajną podówczas grą w kostki. A gra w kostki nie była w owych czasach dzisiejszą zabawą dziecinną. Owszem rozpowszechniona po wszystkich kołach towarzystwa polskiego, zajmowała miejsce dzisiejszych gier najhazardowniejszych. Gracz uniesiony namiętnością pomnażał w miarę jej wzrostu stawkę, a w końcu nie rzadko i całą swą fortunę położył na chwiejną szalę gry pomyślnej. Tak się też i teraz działo. Konarskiemu nie wiodło się zupełnie, gdy tymczasem król przy sprzyjającem szczęściu powiększał za każdorazowem rzuceniem kostek sumę wygranej. Konarski wysilał się by powetować wielką swą stratę, a gdy zaś w końcu tych daremnych zabiegów brakło już nowej stawki, a żal straconych pieniędzy począł mu dokuczać, uniesiony namiętnością dał silny policzek panu swojemu a tym razem szczęśliwszemu współgraczowi. Poznał w tej chwili Konarski zbrodnię swą i umknął co żywo z dworu królewskiego. Atoli usilnym staraniom dbałych o cześć pana swego poddanych udało się pochwycić winowajcę i stawić go przed sprawiedliwy trybunał królewski. Tu go czekał surowy, ale zasłużony wyrok. Jednak nad wszelkie spodziewanie stało się inaczej. Król darował mu ciężką jego zbrodnię, winiąc natomiast siebie samego że przyprawiwszy go grą o stratę zupełną całego majątku, stał się tem samem przyczyną jego nieszczęsnego a szalonego kroku. Czyn ten wspaniały, piękny objaw szlachetnego umysłu Kazimierza, zyskał powszechną pochwałę. Naród zaś umiał się wywdzięczyć zasłużoną nagrodą. Kazimierz bowiem nie był jeszcze podówczas zupełnym panem królestwa

polskiego. Dopiero teraz uznano go nim powszechnie w miejsce owego wiecznie niespokojnego Mięczysława Starego.

II.

Zygmunt I. wyprawił sute polowanie dla rozrywki swej żony królowej Bony, kapryśnej Włoszki, stęsknionej za swą wiecznie ukwieconą ojczyzną. Zgromadziło się w tym celu mnóstwo myśliwych i chłopów dla tem bezpieczniejszego i łatwiejszego polowania, a w pośrodku nich znajdował się sam król Zygmunt z swoją żoną i nieodstępnym błaznem Stańczykiem. Taki błazen znajdował się podówczas na każdym dworze królewskim, miał go nieledwie każdy pan możniejszy. Zadaniem jego było rozweselać pana swego, spędzać wesołym żarcikiem chmurkę z posępnego czoła pańskiego. A obowiązek ten jakkolwiek trudny i nudny spełniał Stańczyk przy wrodzonym dowcipie i rzadkim humorze, nadzwyczaj zręcznie i dobrze. Przy obecnem polowaniu zajaśniały najświetniej jego zdolności błazeńskie.

Polowanie rozpoczęło się wypuszczeniem na wolność ogromnego niedźwiedzia, zamkniętego dotychczas w wielkiej klatce, by go tak dopiero dla tem większej przyjemności króla upolować. Ale niedźwiedź ten był niedźwiedziem puszcz litewskich, niesłychanie wielkim i silnym. Toż trudno go było pokonać. Rozdrażniony pokaleczył pędzącą za nim zgraję psów, poczem rzucił się z straszną wściekłością na myśliwych i to właśnie w tę stronę, gdzie stał król i dwór jego. Stańczyk począł co tchu umykać przed pędzącym za nim niedźwiedziem, od którego dopiero stojący opodal uzbrojeni ludzie go ocalili. I z tego to tchórzliwego postępku błazna począł się potem śmiać do woli Zygmunt. Ale Stańczyk umiał się odciąć natychmiast, bez wszelkiej obawy i namysłu:

— „Śmiać się więcej należy z tego, rzekł do śmiejącego się króla, co wypuszcza na wolność niedźwiedzia opętanego i naraża tylu niepotrzebnie na niebezpieczeństwo, bo większym jest on błaznem“.

I nie ostatnia to w podobnym rodzaju odpowiedź dowcipnego Stańczyka. Innym znów razem wyśmiany i z sukni odarty przez uliczników krakowskich, skarzył się na nich przed królem. Rozśmiał się znowu Zygmunt a w końcu zaczął się litować nad swoim błaznem i żałować go. Ale Stańczykowi nie podobał się ten pozorny żal królewski, pod którym krył się zapewne śmiech serdeczny, więc znowu rzecze do króla:

— „Więcej ja ciebie żałuję królu, bo ci nie dawno moskal Smoleńsk wydarł, a przecież hańba ta twoja nie może się mierzyć z moją dzisiejszą od uliczników.“

Takich niewczesnych, obrażających żartów nie darował by nie jeden dzisiaj. Ale łagodny Zygmunt pobłażył to wszystko Stańczykowi, lubiał i słuchał zawsze jego dowcipów.

III.

Nie odrodził się od ojca swego syn Zygmuntów, Zygmunt August, również król polski. Pod błogiemi dla kraju całego rządami dwóch Zygmuntów zawiązał Pszonka rzeczpospolitę babińską, tak nazwaną od Babina, gdzie jej twórca sędzią był i mieszkał. W tem szeroko rozgałęzionem stowarzyszeniu, rzeczywiście niby małej jakiej Rzeczypospolitej rozdawano różne urzęda i dostojeństwa ludziom, którzy na nie najmniej zasługiwali, których wady stały w zupełnej sprzeczności z ofiarowaną im godnością. Najwytrwalszy w pijatyce był więc w Babinie nadzorcą pełnej piwnicy, największy tchórz hetmanił całej sile zbrojnej Rzeczypospolitej. Było to oczywiście igraszką tylko, swawolną zabawą w czasie miłego spokoju i powszechnego szczęścia w całym kraju, ale przynosiło przytem wiele korzyści. Tem bowiem dawano najlepiej błędy każdego do poznania, tem go najlepiej karcono i na drogę poprawy prowadzono. Owoż raz spytał król Zygmunt August, kto w tej Rzeczypospolitej króluje? Dowcipny Pszonka tak na to odpowiedział:

— „My panie miłościwy idziemy za powszechnym zwyczajem i nie chcemy żadną miarą naruszyć prawa narodu naszego.

Dlatego też za twego życia nie wybierać nam innego króla jak ciebie."

Znaczyło to tyle że Zygmunt August nie posiadał wcale przymiotów potrzebnych dobremu królowi, że jemu królować tak samo należy jak pijakowi być piwnicznym, a tchórzowi hetmanem. Któżby się tem nie uraził? Ale Pszonka liczył wiele na pobłażliwość królewską i nie zawiódł się wcale w tym względzie.

Br. Ł.

LEGENDA.

Onego czasu gdy z uczniami swymi
Zbawiciel świata obcował na ziemi,
Idąc raz z nimi i tocząc rozmowę,
Ujrzał na drodze złamaną podkowę.

Rzekł więc do Piotra: — Weź to! Lecz Piotr w sobie
Myśli: — A co ja z tem żelaztwem zrobię?
Nie warto trudu! — I do towarzyszy
Zwróciwszy oczy, udał że nie słyszy.

Mistrz się uśmiechnął, bo właśnie w tę porę
Tłumaczył świętą prawdziwą pokorę;
Lecz nie rzekł słowa, i gdy ci mijali,
Sam się nachylił, podniósł i szli dalej.

Przy drodze stała kuźnia. Mistrz wszedł do niej,
I ukazując podkowę na dłoni,
Rzekł do kowala: — Daj ile chcesz za to!
Dał grosz. — Szli dalej. A było to lato
I skwar. Spotkali niewiastę; szła z koszem
Wiśni do miasta. Mistrz zaszedł jej z groszem:
— Ile za niego? — Dała trzy jagody,
Mistrz wziął. — Szli dalej. Kraj pusty bez wody,

Skwar wzrastał. W tem mistrz jakby nieumyślnie
Idąc przed Piotrem rzucił jednę wiśnię,
Piotr zgiął się, podniósł, zjadł — smaczna! — Szli dalej;
A skwar się wzmaga, a pragnienie pali...

Mistrz o pokorze wciąż wiodąc rzecz długą,
Znów jak z przypadku rzucił wiśnię drugą;
Piotr znów się schylił, podniósł i pomału
Ssąc w ustach, tłumił zasuchę upału.

Szli dalej. Znów mistrz niby przez przygodę
Otrząsł z łodygi ostatnią jagodę;
Potoczyła się i zagrzęzła w piasku,
Piotr skoczył ku niej, ale gdy po blasku
Dojrzeć jej nie mógł, jął szukać rękoma,
I niecierpliwy czuł jak go oskoma
Bierze — Aż znalazł, otarł i z pospiechem
Już miał do ust swych włożyć, gdy z uśmiechem
Mistrz się obrócił ku niemu i rzecze:

— Nieprawdaż smaczne wiśnie gdy skwar piecze?
Lecz rozmyślając com rzekł o pokorze,
To sobie także będziesz przypominał:
Że po podkowę raz zgiąwszy się w porze,
Trzykroć po wiśnie nie byłbyś się zginał.

A. E. Odyniec.

SKŁADANIE OFIAR.

Nie tylko poganie bożkom swoim, ale i Izraelici w jednego prawdziwego Boga wierzący, składali niegdyś swemu Stwórcy

ofiary z zwierząt lub płodów ziemi. Było to zwyczajem powszechnym w całym świecie i nie umiano inaczej okazywać bóstwu czci i wdzięczności.

Rozmaite były rodzaje ofiar i rozmaite sposoby ich składania. Najczęściej przeznaczone na ofiarę dary dawano kapłanom, którzy je poświęcali przed spłonieniem ofiary. Na ten cel były przyjmowane w przedsionkach świątyni rozmaite przedmioty, jako to: Chleb upieczony, pierwiastki zboża w snopach, owoce ziemi i drzew, zwierzęta domowe i niekiedy dzieci dzikich ludów i dorosłych niewolników. Ustawiano ołtarz z kamieni, w około klękali wszyscy członkowie rodziny, na ołtarz kładziono drwa, a na nich snopy zboża lub jagnię. Podpalano drzewo, a podczas gdy ogień ogarniał zwierzę, przeznaczone na ofiarę, kapłani i inni obecni mówili głośno słowa modlitwy dziękczynnej. Podobne czyniono ofiary dla uzyskania odpuszczenia grzechów, lub uproszenia innych łask, dla ubłagania bogów aby odwrócili klęski i t. p.

Wartość przedmiotów, na ofiarę składanych, nie zawsze była jednakowa, i zależała częstokroć od majątku i stanowiska czyniących ofiarę. Wiadomo wam, młodzi czytelnicy, z jaką gotowością Abraham jedynego syna chciał poświęcić Bogu na ofiarę. Już położył go na stosie,-już dobył miecza aby go zabić, gdy oto wysłany przez Boga anioł wstrzymał go za rękę i wskazał stojące za krzakiem jagnię. U Greków i Rzymian niekiedy po tysiąc wołów zabijano bogom na ofiarę, woły te zaś musiały być zawsze wyborowe, najpiękniejsze. Pogańscy mieszkańcy północnej Azji czasem tylko same rogi, skóry i wnętrzności zwierząt składali w darze bogom swoim. U Persów ubierano ozdobnie bydło przeznaczone na ofiarę, kapłan lub najstarszy członek rodziny poświęcał je, poczem odmawiano modlitwy i czyniono ofiarę. Dotąd Persowie w najuroczystszy sposób czynią swoje ofiary, jak to przedstawia załączona obok rycina.

Ofiary z ludzi czyniono niegdyś u wszystkich ludów, u Rzymian, Germanów, Gallów, nawet Prusowie i Litwini, jeśli im

się udało pojmać w niewolę którego z rycerzy krzyżackich, co pod pozorem nawracania pogan na wiarę chrześcijańską tak okropnie ich prześladowali, wlekli go do stóp ołtarza i na wolnem ogniu palili wraz z koniem bogom na ofiarę.



Chrystus Pan przyszedłszy na świat dla zbawienia ludzkości, nauczył że cicha modlitwa milszą jest Bogu jak ofiara całopalenia, i odtąd gdzie tylko dojdzie światło Jego nauki, na gruzach świątyń pogańskich wznoszą się kościoły poświęcone czci prawdziwego Boga, a w nich chrześcijańscy kapłani spełniają bezkrwawą ofiarę mszy św.

MORZE.

II.

Morze nie tylko w liczne opływa bogactwa, ale jest i cudowności pełne; widok jego wspaniały i piękny, gdy jego powierzchnia spokojna lub gdy łagodne fale okrętem wzruszają: ale staje się strasznem i groźnem w czasie burzy, gdy wysokie jak ogromne budowle bałwany, w górę wyrzuca, i w głębokich zanurza w przepaściach. Oto już w dalekiej odległości zbierają się ciemne chmury na widnokręgu, i w coraz większe i gęstsze skupiają się masy. Powietrze porusza się; czarne chmury coraz to bardziej zbliżają się i coraz prędzej przeciągają po zasępionem niebie; morze niepokoi się, a wichry wznoszą naprężone bałwany coraz to wyżej. Majtkowie zwijają żagle; belki przy maszcie trzeszczą, lotne mewy, posłańce burzy, czepiają się trwożliwie choć i chwiejących się masztów. Coraz to bardziej burza się zbliża; co raz to większą ciemnością niebo się pokrywa; ogniste błyskawice drgają w powietrzu, a wichry rozdąsane szaleją bez miary; coraz to silniej i donośniej ryczą przerażające grzmoty. Teraz zrywa się burza. Wśród grobowej nocy, rozjasnionej chwilami migocącym tylko światłem błyskawic, straszliwy wicher szaleje; wszędzie w około ogromne bałwany, gwałtownie w górę wypchnięte, przetaczają się po spienionych wodach i z olbrzymią siłą uderzają zewsząd na okręt, którym pomimo jego ogromu i ciężaru, złowrogi orkan jak wątłą słomką miota na wszystkie strony, ciskając statek to na szczyt sięgającego obłoków bałwanu, to wtrącając go w bezdenną przepaść, to wypchnąwszy go na wierzch, na to samo znowu naraża go niebezpieczeństwo, lub gruchoce najsilniejsze maszty, które swoim upadkiem powiększają jeszcze obecne przerażenie i całej załodze ostateczną grożą zagładą. Majtkowie od spodu pompują wodę; paki, beczki i skrzynie wrzucają w morze, aby statek

lżejszym uczynić. Nieustannie jednak groźne bałwany zalewają pokład okrętowy. Często się zdarza że straszliwa a przeciągła burza uderzy okrętem o podwodną skałę i gruchoce go, lub wybija otwory, któremi woda coraz to groźniej podnosi się w okręcie. Z największem wysileniem pracuje cała załoga, zatykają otwory, wodę wyczerpują. Nakoniec po długiej, szalonej wściekłości zwolna ucisza się burza; bałwany nie tak silnie miotają okrętem. Powoli uspokaja się gwałtowność morza, niebezpieczeństwo przemija, a zagnany wichrami w przeciwną stronę statek płynie znowu na przeznaczone dla siebie miejsce.

Ale nie wszystkie okręty tak błogiej doli śród burzy doznają, znaczna ich część ginie w przepaściach morskich, z całym swoim ładunkiem. Niekiedy statki uderzone o skały, lub na mieliznę wypchnięte, rozbijają się i toną, lub zostają bez ratunku. Takiem nieszczęściem dotknięci ludzie, jedni wskakują na łodzie, usiłując dostać się do lądu, lub płyną w nadziei spotkania jakiego okrętu: drudzy czepiają się desek i belek roztrzaskanego statku i często przez kilka dni wśród głodu, trudów i wycieńczenia sił, walczą z groźnemi falami, dopóki nie dotrą do brzegu, albo ich jaki niespodziany nie wybawi przypadek, lub wreszcie dopóki w omdleniu nie pogrążą się w bezdennych toniach oceanu.

Jak groźną i straszliwą jest burza na morzu, tak i zupełna na niem cisza ostateczną zagraża zgubą. Okrętom z Europy na południe płynącym, aż do samych stref, zwykle pomyślny wiatr służy; lecz w miarę zbliżania się do równika, słabnie i wreszcie zupełnie ustaje. Bez wiatru morze jest nieruchome; powierzchnia jego gładka i jednostajna, do źwierciadła podobna, najmniejszego powiewu powietrza nie dostrzeżesz wcale: nieporuszony okręt na miejscu zostaje. Słońce gorejącemi ogniem promieniami rozpala powietrze, z wód morskich wznoszą się zgniłe wyziewy; woda do picia w beczkach zachowywana, psuje się; mięso przechodzi w zgniliznę; chleb toczą robaki. Choroby wywięzują się między załogą okrętową, wielu nędznie umiera. W morzu ża-

dnego żyjącego nie widać stworzenia, tylko żarłoczny ludojad (Haja), ten postrach oceanu wytrwale pędzi za okrętem i chwyta chciwie wrzucone do morza trupy. Śmierć coraz to więcej ludzi porywa i zaledwie nie wielu przy życiu zostawia. Nareszcie po upływie kilku tygodni znowu się wiatr zjawia i dalej okręt posuwa. Są jednak przykłady że w czasie tej straszliwej ciszy cała załoga wymiera.

Tak więc morze ma swoje przyjemności, ale i na dotkliwe naraża niebezpieczeństwa. Ileż to miljonów ludzi, skarbów i bogactw pochłonęło morze, i jak wiele corocznie ginie w jego przepaściach! Jednakże żeglarz z rozkoszą spogląda na niego, i w niem jak Szwajcar w swoich górach rozmiłowany, na rozległem tylko morzu żyje swobodnie. Z licznych niebezpieczeństw łaską Najwyższego wybawiony, tęskni zawsze za morzem; tam żyć i umierać pragnie. Bo kto jest prawym żeglarzem ten wie i jest przekonany że człowiek wszędzie jest w ręku wszechmocnego Boga: a Ten co włosy na głowie policzył, i do morza wzburzonego wzdętemi falami przemówić może: Aż dotąd, a nie dalej! teraz poskromisz twoje zuchwałe bałwany!..

WYDRA.

Wydra mieszka w całej Europie a nawet w północnej Azji i północnej Ameryce. Najczęściej przebywa na brzegach rzek, szczególniej zaś na wybrzeżach strumieni, w których znajdują się pstrągi; czasem, ale to rzadko, zajmuje pobliskie jamy lisie i borsucze, najczęściej zaś sama wykopuje sobie jamę w gruncie naniesionym przez wodę, a ponieważ lubi suche mieszkanie, więc je zwykle dosyć daleko pod ziemią rozszerza. Wejście do jamy urządza czasem nad wodą, a czasem pod wodą. Żywi się rybami, żabami, rakami i myszami wodnemi, więc zmuszona jest często zmieniać miejsce pobytu i nowe zakładać mieszkania.

Szczególniejszą okazuje zręczność w łowieniu ryb i żadne zwierzę w tem jej nie wyrówna. Płynie pod wodę, wypoczywa przez chwilę na kamieniach, a ujrzawszy łup, w mgnieniu oka daje nurka i puszcza się za nim. Żadna ryba wymknąć się jej nie zdoła. W zimie, gdy rzeki zamarzną, wciska się do wody przez przerębłe i co jest zaiste rzeczą dziwną, temi samemi otworami wychodzi po niejakim czasie na wierzch. Ryby mniejsze pożera od razu, większe zaś wynosi na ląd, obgryza mięso a głowę i ości zostawia. Te gnijąc sprawiają w jej jamie woń nieprzyjemną.

Stara wydra ma 28 cali długości, nie licząc ogona, który ma przeszło pół łokcia; jest 14 cali wysoka i waży około 20 funtów. Z pomiędzy krótkiej, miękkiej sierści, jej kawowo brunatnego futra wystają długie lśniące włosy. Ma futro tak gęste, że dopóki jest żywą nigdy go woda nie przeniknie. Głowę gładką, uszy krótkie i palceprzerosłe błoną do pływania.

Myśliwi ścigają wydrę częstokroć bardziej jak niejedno inne zwierzę, nie tylko dla tego aby rybaków uwolnić od natrętnego współzawodnika, ale i dla zysku, bo kuśnierze płacą drogo skórki z wydry, używane na zarękawki, do czapek i t. d. Łowią także młode wydry, przynoszą do domu i wychowują, te bowiem dają się ułaskawiać i rozlicznemi figielkami zabawiają swoich panów. Dają się pieścić i igrać z sobą. Lubią aby je głaskać i przychodzą na zawołanie; ale gdy ich pan udaruje wolnością, spieszą nad rzekę i nie wracają więcej. Są także bardzo pojętne i można je wyuczyć zganiać ryby w rzekach i stawach w jeden kąt, wybierać największe, wynosić w pyszczku i panu podawać.

Wydry morskie dostarczają kosztowniejszych futer jak rzeczne. Mają one po 40 cali długości, nie licząc ogona. Mieszkają na wybrzeżach północno wschodniej Azji i północno zachodniej Ameryki. Skórki z wydry morskiej, wolne od skaz, płacą się po 100 do 200 talarów.

Jazda psami.

Pan Bóg, stworzywszy świat, wszystkie rzeczy tak na nim urządził, swą niepojętą i nieograniczoną mądrością, że każda ma swoje odpowiednie przeznaczenie. Postępować zgodnie z tem przeznaczeniem znaczy zgadzać się z naturą. Dla tego też postępujemy zgodnie z naturą, jeżeli do orania lub wożenia ciężarów używamy wołu lub konia, bo natura dała na ten cel wołowi silne rogi, piersi i nogi, a i koń podobnąż siłę ma w piersiach i nogach. Gdybyśmy zaś chcieli wołu lub konia używać do pilnowania domu, lub do łowienia zajęcy i innego zwierza, to nazwalibyśmy to wykroczeniem przeciwko naturze; kto zaś wykracza przeciwko naturze, ten grzeszy, bo natura ma swoje prawa, nadane przez Stwórcę.

Z tego widzimy że i pies w stworzeniu powinien mieć swoje przeznaczenie. Doświadczenia tysięcy lat nauczyły ludzi, że jedne gatunki psów służą wyłącznie do pilnowania domów, trzód, owiec, inne do tropienia zwierza, a jeszcze inne do ścigania go; są także i takie które mogą się wyuczyć ratować ludzi tonących lub zbłąkanych i zasypanych śniegiem. Ażeby psy mogły to piękne swoje przeznaczenie spełnić, natura dała im silną paszczę z ostremi zębami, węch i słuch bardzo czuły, cienkie i suche nogi do biegania, a nawet i niemałą zmyślność w pojmowaniu myśli człowieka. Widzimy więc, do czego natura psy uzdolniła; zdrowy rozum dobrze to powiada każdemu.

Ale na nieszczęście są ludzie, który z umysłu zagłuszają zdrowy rozum i prawa natury, mając na względzie tylko wyciąganie jak największej, niepohamowanej korzyści, choćby to było i z krzywdą zwierząt, które swej chciwości czynią narzędziami.

Chcemy tu mówić o jeździe psami, albo raczej o wożeniu ciężarów psami, do którego natura ich nie uzdolniła, ani mocnemi piersiami, ani wzrostem po temu, lub mocnemi nogami. W niektórych krajach prawo, litując się nad temi stworzeniami, zabroniło już surowo zmuszać ich do ciągnięcia ciężarów. A jednakże są jeszcze miejsca w Europie, gdzie ten barbarzyński zwyczaj się zachowuje, są miejsca w Niemczech, mianowicie w bliskości miast większych, gdzie i po pięć psów zaprzęgają do wózka naładowanego różnemi przedmiotami, które się mają sprzedać na targu, a to z tej niby przyczyny że żywienie psa mniej kosztuje niż wołu lub konia. Ależ i w obchodzeniu się z zwierzętami trzeba mieć serce, bo Pan Bóg nie stworzył nam ich na pastwienie się lub krzywdzenie, ale na posługiwanie się niemi, według praw i przeznaczenia natury. Kto krzywdzi zwierzęta ten bardzo jest skłonnym i do krzywdzenia ludzi; bo dobre lub złe serce i w najdrobniejszych rzeczach poznać się daje.

Posłuchajmy oto co święty Franciszek Salezy, który wiele mądrych rzeczy napisał, mówi o zwierzętach. Napisał on: „że zwierzęta w stworzeniu są to młodsi bracia ludzi“ — a napisał tę myśl zacną w tem znaczeniu aby ludzie nigdy krzywd rozmyślnych nie wyrządzali zwierzętom.

Na pociechę wyznać możemy że w kraju naszym nie ma tego obrzydliwego zwyczaju, aby psów używano do dźwigania lub wożenia ciężarów. Ale ta sama prawda zmusza nas i to wyznać że pastwienie się nad innemi stworzeniami — końmi, że przeładowywanie ich ciężarami nad miarę i nielitościwe bicie ich, jest jeszcze u nas w zwyczaju A przecież garść lepszej paszy lepszym jest poganiaczem dla konia niż bat lub kij, który chyba tylko to zrobi, osłabłemu koniowi, że go prędzej dobije i gospodarza pozbawi rychłej jego podpory w gospodarstwie. Obaczywszy nędznego konia każdy zastanawiający się człowiek powie odrazu: „Jaki sługa taki pan.“

Wracając się jeszcze do psów, należy jeden wyjątek zrobić, albo raczej usprawiedliwić jazdę psami, która się odbywa w Syberji i Laponji. Rzeczywiście w tych krainach psów używają i do kilkaset milowych podróży, ale tylko do podróży. Jednakże natura tych okolic wydała tam psy odmienne, większe i silniejsze od innych; zresztą zaprzężone w kilkoro do lekkich sanek, bez zbytniego utrudzenia, suwają się tam one lekko po ogromnych pustyniach śniegów, gdzie bardzo dobrze wyręczają konia, który, jako cięższy, ugrzązłby w zaspach śniegowych.

ROZMAITOŚCI.

Św. Kazimierz Jagiellończyk urodzony r. 1458. umarł 1484. Od najpierwszych lat dziecinnych niezmiernie okazywał się cichym, skromnym, bogojnym, a dla cierpiących litościwym. Jakkolwiek królewskiego rodu, dalekim był jednak nie tylko od wszelkiej wystawności, tak zwyczajnej na dworach królewskich, ale nawet odmawiał sobie wszelkich wygód życia, na najprostszym przestając pokarmie. Wielu już zawczasu starało się o jego łaskę; on bowiem najbliższym był po swoim ojcu następcą na tron, zwłaszcza że jego brat starszy Władysław został królem Czeskim i Węgierskim, wtedy temi mądremi a pobożnemi odprawiał ich słowy: „Niech ja pierwej umrę, a na zgon ojca miłego nie patrzę.“ Umarł za młodu, bo zaledwie w 26. roku życia. Piotr Skarga, sławny nasz kaznodzieja, wielką o nim powiedział prawdę: „Że św. Kazimierz pierwej się człowiekiem, ludzkim nędzom i przygodom podległym uznawał, aniżeli królewicem“ i te słowa wyrzekł o nim z Pisma św.: „Długie lata cnym żywotem zastąpił.“

Anegdota historyczna. Król Jan III. Sobieski wolniejsze od uciążliwych zatrudnień chwile przepędzał chętnie z swym

powiernikiem i przyjacielem. Był nim Gomuła, waleczny żołnierz, zacny obywatel i dobry Polak, który jednak prócz ojczystego, żadnego więcej nie umiał języka. Jan III. jak wszystkim wiadomo, prowadził wojny z Turkami, a dzielne odparcie z pod Wiednia dzikich Muzułmanów i złamanie przeważnej ich potęgi zjednało mu niepożytą sławę w całym chrześcijańskim świecie. Niebawnie więc zewsząd nadchodziły poselstwa z powinszowaniem tak świetnego zwycięstwa. Między innymi przybył w tym celu i poseł francuski. Ten wprowadzony do sali, dwie tylko zastał w niej osoby, króla i jego dobrego przyjaciela Gomułę, w niemałym był przeto kłopocie, bo trudno było mu rozpoznać który z obecnych był królem; widząc jednak że Gomuła nie tylko był wyższy wzrostem, ale i okazalszy jeszcze co do tuszy ciała, jego więc poczytuje za króla i z ukłonem zwraca swą mowę do niego i często wyraz Sire z uszanowaniem powtarza. Gomuła jak wyżej wspomnieliśmy, nie umiał wprawdzie po francusku, ale od dawna wiedział że Sire znaczy Najjaśniejszy Panie, ręką przeto wskazał na króla i rzekł grubym głosem: „Ten pan jest Syr, a ja Gomuła."

Jan Ostroróg wojewoda malborski, mąż wybornych przymiotów serca i obyczajów, szanowany w narodzie. Zygmunt III. powierzył mu dozór swych młodych synów. Częstokroć on powtarzał: „Nie grzesz, a nie żałuj; nie łaj, a nie przepraszaj; nie daj, a nie wydzieraj; a tak jeżeli nie wiele dobrego zrobisz, przynajmniej złego winnym nie będziesz."

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5. Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktor odpow. Stanisław Nowiński. *Wydawca:* Władysław Zawadzki.

Drukiem M. F. Poremby we Lwowie 1866.